



Na zdjęciu (od lewej): L. Jarecki (Szambelan), A. Uriata (Helena) i jubilatka M. Majdrowicz-Zakrzewska (Pani Jowialska).

Jerzy Bober

TEATR

Tarnowskie święto Pani Jowialskiej

Ta sympatyczna, starsza pani — czyli Pani Jowialska — nie jest czołową postacią komedii Fredry. Już sam tytuł *Pan Jowialski* zdradza bez cienia wątpliwości kto będzie grał główną rolę w sztuce. Ale wbrew pozorom, nie jest to także utwór dramatyczny — na cześć, lub na pohybel Panu Jowialskiemu. Komedja dzieli się na co najmniej kilka wątków fabularnych — a w tym usytuowaniu właściwie każda z ośmiu postaci scenicznych (nie licząc Lokaja) reprezentuje osobny nurt dramatyczny. Z nich dopiero tworzy się nadrzędna całość. Różnie ją osądzano od 1835 r. A to, że paszkwił na społeczność szlachecką, a to — że brak wiary w Polaków po klęsce powstania listopadowego — a to, że żart z powodu bezideowości i głupoty hreczkosiejów, nie zdolnych już do żadnego czynu i krywu — a to, że odwrócenie uwagi od nieszczęść narodowych w stronę płytkiego życia dworaków etc.

Ale wróćmy do Pani Jowialskiej. Dama-ż to i matrona, przy boku wciąż witalnego starca, jowialnego hobbyisty zbierającego facecje, porzekadła i bajeczki — by zastępować nimi normalny tok rozmowy oraz ironizować dobrodusznie na temat życia, winnych dzieci (ba, dziecko-szambelan liczy sobie 50 latek!) i dworować z bliźnich przy każdej okazji — beztroskiej lub poważnej?

Pani Jowialska mówi w sztuce bardzo mało. Żyje w cieniu gadatliwego męża: Władcy wie nawet tyrana, który terroryzuje otoczenie, obowią z kimś słuchania swoich dykteryjek. Pani Jowialska uczyniła jednak z owego cienia męzowskiego — rodzaj przystąpiła życiowej. Chce być w cieniu. Rozumie na swój sposób, że obsesja gadulstwa staje się jakimś murem ochronnym dla męża. Dla człowieka, który chowa za ogrodzeniem z bajkowych słów, lub tzw. mądrości ludowych — wszystkie zawody, gorycze i dawne niepowodzenia. Nie tylko własne. Być może — w skali wyolbrzymionej: narodowe. A kto wie, czy po prostu nie zastania humorem i uszczypliwością — braku zaufania do podobnej mu wokół braci szlachty? Jako efektu „ogólnej niemocności” trawiającej jego klasę społeczną.

Jakże więc potraktować owe 40 lat życia w teatrze wobec 52-letniej przestrzeni czasu, dzielącej Marię Majdrowicz od pierwszych kroków na scenie? Oto w okresie, gdy jej uroda czaruje publiczność warszawską u Szyfmana w Teatrze Polskim, gdy aktorka wiąże się z początkami działania słynnej *Reduty Osterwy*, a potem ze stołecznym Teatrem Narodowym — nagle w r. 1934 „ucieka” na 12 lat od światła ramy. Wówczas pozostaje już panią Zakrzewską. Ale, jak to wspominał podczas jubileuszowych uroczystości, w ich „prywatnej” części, mąż Aktorki — decydując się świadomie na życie rodzinne bez teatru — nie zerwała jednak całkowicie z marzeniami o powrocie na scenę. Jakoż i po wojnie — następuje powrotny debiut Majdrowicz-Zakrzewskiej w Teatrze im. J. Słowackiego. Później zawędruje do nowohuckiego *Nurtu*, aby od r. 1957 związać się z obywatelowym Teatrem Powszechnym, kierowanym przez Kazimierza Barnasza. Barnasz, przenosząc się do Tarnowa, zabiera tam Artystkę. Nie obsadza jej w swojej sztuce, jak Rydel — ale w ciągu 10 lat Maria Majdrowicz-Zakrzewska gra niemal we wszystkich scenicznych utworach z różnorodnego repertuaru Teatru Ziemi Krakowskiej. A ów repertuar, przy pomocy którego młoda scena ma sobie utworować drogę do starszego i nowego widza: w mieście i tzw. terenie — zdradza ambicje artystyczne bynajmniej nie prowincjonalne, choć sytuacja kadrowa, aktorka nie jest najlepsza. Majdrowicz występuje więc m. in. w *Powrocie pioski* i *Peer Gynta*, w *Odwetach* i *Lalce*, w *Świętoszku* i *Dwóch teatrach*, w *Weselu* i *Niemcach*... Żadne tam maginesy „emeryckie” — lecz role mocne, zmieniające jedynie amantką w bardziej charakterystyczne emplot. Jak to w teatrze. Nic więc dziwnego, że w Panu Jowialskim dawna Helena zostanie teraz Panią Jowialską.

Gdybyśmy sądzili po rozmiarach i formie tego pięknego jubileuszu wierności scenie (nimo chwilowej rezygnacji na rzecz obowiązków rodzinnych) — trzeba by przyznać Tarnowowi miano wytrawnego miasta teatralnego. Myślę, że tak zorganizowana uroczystość społecznego uznania dla pracy artystycznej — mogłaby stać się przykładem i zachętą dla wielu innych ośrodków kulturalnych.

No więc Paul Jowialska wolał się nie odzywać. Zbyt kocha swego staruszka, żeby mieć mu sprzeciwem lub tylko dopowiadaniem — zasady gry. Bo przecież i ona wciągnęła się do wspólnej gry: wesołości na sile. Nieorzynawania się do porażki, jaka JEST ich życie. Zarówno to, zamknięte w klatkach dla ptaków, którymi to klatkami bawi się 50-letni synek, Szambelan — jak i to, zbudowane na bajkach męża, snobizmie synowej, byłej generałowej Tuzowej czy wreszcie to — w którym trzeba sprzedać wnuczke. Nie wydać za mąż za pana Janusza, lecz właśnie zaślubić z wioskami i majątkiem niezabawnego sąsiada.

Paul Jowialska wybrała cień. Z tego cienia jednak wywodzi osobą artystki — w przedstawieniu Państwowego Teatru Ziemi Krakowskiej im. J. Solskiego w Tarnowie — jubileusz... Bo oto aktorka, której ongiś partnerował obecny patron sceny tarnowskiej, Maria Majdrowicz-Zakrzęńska, obchodził 40-lecie pracy scenicznej. A tu zaraz paradoks: przed 45-laty młoda — ale przecież nie debiutująca wtedy Majdrowiczówna grała w *Panu Jowialskim* — Helenę. Wnuczkę Paul Jowialskiej. W otoczeniu takich nazwisk, jak Zelwerowicz (*Szambelan*), Samborski (*Janusz*), S. Stanisławski (*Pan Jowialski*), Jerzy Leszczyński (*Ludmir*)... Był rok 1923, a działo się to na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Dodajmy jeszcze, że siedem lat wcześniej nadzwyczaj piękna i młodzółka dziewczyna wystąpiła w teatrze po raz pierwszy, jako Wojewodzianka z *Zaczarowanego koła* Rydla. Miejscem debiutu była zasłużona placówka im. J. Słowackiego w Krakowie, a dyrektorem — który wprowadzał debiutantkę na deskę sceniczne — sam autor sztuki, Lucjan Rydel.

i zaczęła dla wielu większych ośrodków kulturalnych w kraju. A może to właśnie mniejsze miasta umieją postarać się o tyle ciepła, niemal rodzinnej atmosfery przy nagradzaniu ludzi za ich wysiłek w budowaniu trwałych pomostów między nosicielami kultury a ich odbiorcami? Jest w tym coś wzruszającego — a nade wszystko cecha dobrego obyczaju. Znak świadczący o zrozumieniu i potrzebie więzi łączącej służbę teatru z żywymi jej odzwierciedleniami coraz większej liczby przyjaciół określonej sceny.

A więc spektakl *Pana Jowialskiego*, przygotowany z myślą o Jubilatce przez teatr — był widowiskiem odświętnym. Stąd nawet przekora zawodowa nie zdoła zamienić przedstawienia w codzienny, obiektywny krytyczny. Reżysera *Janiny Orsa* — *Lukasiewicz* przyjęła tradycyjne kształty dla prezentacji Fredrowskiej komedii, rozgrywanej w opowieści scenograficznej *Zdany Jasiński* (b. funkcjonalnej, klatkowo-symbolicznej — z lekkim przyzmrujeniem oka). Grano poprawnie i starannie, choć wolalibyśmy nieco starszego w charakterystyce Pana Jowialskiego — mimo że *Henryk Korbut* nie kładł nacisku na sędziwość wieku swojej postaci, ale na jowialny sceptycyzm aranzera teatru w teatrze. W trakcie rozwoju akcji scenicznej coraz bardziej nabierała rumieńców rola Szambelana (*Ludwik Jarecki*), który początkowo rysował się dość niewyraźnie w koncepcji stylu gry. Zwyciężyła, może nie najbardziej odkrywczą interpretacją niedorozwiniętego, starego dziecka. Choć można i tak. *Józefina Werner* musiała więc dostosować swą Szambelanową do założeń wykonawczych partnera, co nieco osłabiło komediowy dystans snobki do męża. A szkoda, z uwagi na mniejsze wykorzystanie temperamentu scenicznego aktorki. Afektowana Helena utrzymała w należnych ryzach *Anna Urlata*, zaś *Ludmir Aleksandra R. Forda* miał, zwłaszcza w końcowych partiach sztuki, wcale interesujące momenty. *Wiktor* grał *Włodzimierz Górny*, a *Janusza* — *Jan Mączka*.